

## FRAGMENTY

Bardzo lubiłam odwiedzać Mamę i Wuję, także, kiedy jeszcze mieszkali przy ul. Poselskiej w Warszawie, a potem, od 1959 roku na Międzynarodowej. Mimo rozpaczliwej ciasnoty w zajmowanym przez nich wspólnie pokoiku, spotkania te były pogodne, a nawet radosne. Wypełniały je nie tylko moje opowiadania o życiu w Poznaniu (przeprowadziłam się tam w 1952 roku, po ślubie), ale także częste wspomnienia o latach trzydziestych, które minęły nam razem na Filtrowej. Często zdumiony Wuj pytał: „Ty to pamiętasz?” – i cieszył się ogromnie moimi komentarzami, przywołującymi przeszłość widzianą oczami nastoletniej dziewczynki.

Dopiero o wiele później, gdy byłam już dorosła, zaczęłam tak naprawdę doceniać jego niezwykłą umiejętność „żartowania na serio”. Bywało, że niektóre „kary”, jakie dostawałam w dzieciństwie całkiem zasłużyłam – napęłniały mnie grozą. Kiedyś zniszczyłam jedno ze zdjęć moczących się w wodzie. Ciekawość wzięła górę i oglądałam je zbyt dokładnie (W.Z. robił bardzo piękne portrety aparatem ze szklanymi kliszami, zostały mi tylko dwa: Babci i Mamy z nami). Przyznałam się oczywiście i mimo skruchy usłyszałam:

– Jak jeszcze raz tak postąpisz, to pomaluję cię na czerwono i zielono – i psy będą na ciebie szczekały!

Trudno byłoby o większą karę, naprawdę przeraziłam się.

Szczególność umiejętności wykorzystywania absurdu dla zrobienia żartu imponuje mi ogromnie. W 1931 roku ukazała się *Nasza Pani Radosna* i pojawiły się recenzje. Jedną z nich napisała znana autorka, Maria Czapska, a ja, przed zamążpójściem za Andrzeja Pajzderskiego, nazywałam się z domu także Czapska. Wuj z całą powagą zwrócił się do mnie z wymówką:

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, że pisujesz recenzje prasowe?

Pojęcia nie mam, co odpowiedziałam, ale pamiętam poczucie winy, że jednak mam coś na sumieniu.

Nie wiem, który to był rok, miało lądować „autożyro” (tak się wtedy nazywał śmigłowiec) w Warszawie na lotnisku, wówczas na polu Mokotowskim, godzina nie była znana. Wywołało to poruszenie w rodzinie. W.Z. powiedział, żebym sobie siadła przy oknie i gdy tylko autożyro przyleci, zaraz dała znać. Dodał z powagą, żebym bardzo uważała, bo jeśli zauważę lądowanie – przejdę do historii.

Zauważyłam, rodzinę zawołałam, do historii nie przeszłam. Zawodu nie czuję.

Z nudów, mając cztery lata, kiedy moja siostra zaczęła chodzić do szkoły, razem z nią nauczyłam się czytać. Przy obiedzie głośno przeczytałam napis na syfonie: „Woda sodowa «Motor»”.

Wuj zapytał:

– A któż ją tego nauczył?

Wyjaśniłam, że przeczytałam sama i rozpoczęła się rozmowa, że jak to, przecież ona ma cztery lata... Dali mi jakieś inne słowo – przeczytałam. Widać W.Z. przejął się tą nowością rodzinną, bo gdy tego dnia odwiedził go przyjaciel (dziennikarz żydowskiego „Naszego Przeglądu”), Szymon Krongold, bardzo u nas

w domu lubiany, zawołał mnie, dał gazetę panu Szymonowi i pozwolił mu wybrać tekst, który miałam przeczytać. Bez trudu, choć metodą odczytywania pojedynczych liter i składania ich bardzo szybko w słowa, przeczytałam: „Przygody Waldemarasa w parlamencie świata”. Czekałam na pochwałę, a Wujek powiedział:

– Pomyśl, przecież ją można by pokazywać za pieniądze.

Wówczas nie doceniłam tej „pochwały”.

To wspomnienie jest dla mnie bardzo smutne. Nie wiem, jaki był los pana Szymona, obawiam się, że tragiczny. Po wojnie zapytałam Wujka o niego – odpowiedział tylko: „Pamiętasz go?”.

Dość dużo rysowałam. Kiedyś W.Z. wybrał się ze mną do nieznanego mi pana, który oglądał moje rysunki, coś tam powiedział, bez wielkiej pochwały, i zalecił: „Daj kotu lustro i to rysuj”.

Po wyjściu stwierdziłam, że przecież nie mam kota. W.Z. zaproponował:

– Kupię ci konia na biegunach, nie będzie biegał po domu i brudził, a ty będziesz mogła sobie jeździć konno.

Wiele lat później, już na Międzynarodowej, przyszłam w porze obiadu, witam się, widzę, że Mama bardzo zdenerwowana. Chwilę rozmawiamy. Wuj mówi:

– Wiesz, twoja Mama bardzo na mnie zagniewana.

– Czemu? – pytam.

– Wyobraź sobie, że gdy Mama postawiła obiad na stole i wyszła jeszcze do kuchni, zawołałam: „Wandziu obiad na stole!” i okazało się, że bardzo zawiniłam. Pomyśl, co teraz będzie?!

Wszelkie moje perswazje, przeplatane szczerym śmiechem, nie załagodziły „winy”. Mama swoim zwyczajem mówiła:

– Władeczkę, bo ty tak zawsze...

A Władeczek – kiedy miał jedenaście lat, a moja Mama trzy – tak straszył siostrę przy obiedzie: nabierał na łyżkę zupę i mówił:

– Wandziu, utopię się (podobno bardzo ponurym głosem) – i Mama rozpaczała, głośno płacząc.

Życie Wujka bogate było w wydarzenia bardzo ciekawe, czasem niebezpieczne. Cóż, nieraz prosiłam, aby napisał choć skrótowy życiorys, ale zawsze słyszałam:

– Po co? Wszystko jest w moich książkach.

*Maria Pajzderska*  
Poznań 2010